

Tomasz Tyczyński

"Braterstwo albo śmierć : zabijanie Mickiewicza w Kole Bożym", Krzysztof Rutkowski, Paris 1988 : [recenzja]

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 80/3, 353-363

1989

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

IV. RECENZJE I PRZEGLĄDY

Pamiętnik Literacki LXXX, 1989, z. 3
PL ISSN 0031-0514

Krzysztof Rutkowski, **BRATERSTWO ALBO ŚMIERĆ. ZABIJANIE MICKIEWICZA K KOLE BOŻYM**. Paris 1988. „Libella”, s. 278, 2 nlb.

W 1980 roku ukazała się w Paryżu książka Zbigniewa Wołkowskiego *W kręgu Andrzeja Towiańskiego i Sprawy Bożej*. Jest to, jak stwierdza Krzysztof Rutkowski, apologia mistrza Andrzeja ułożona przez „jego współczesnego wielbiciela i adepta”.

Nic więc dziwnego, że towianizm pozostaje przedmiotem badań wciąż budzącym emocje wśród historyków literatury. Dotyczy to także książek opublikowanych w ostatnich latach: eseju Jarosława Marka Rymkiewicza o mistycznej twórczości Słowackiego, podjętej „ze względu na Mickiewicza” nowej interpretacji towianizmu autorstwa Konrada Górskiego¹ oraz pracy Krzysztofa Rutkowskiego. Wymienieni badacze nie ukrywają silnego emocjonalnego zaangażowania wobec przedmiotu ich rozważań. O ile jednak zarówno Rymkiewicz, jak i Górski zajmują się „sprawą Towiańskiego” głównie ze względu na Słowackiego i Mickiewicza, o tyle dla Rutkowskiego udział autora *Dziadów* w działalności Koła Sprawy Bożej staje się punktem wyjścia ogólniejszych rozważań.

„Właściwie gdyby przez chwilę zastanowić się bez uprzedzeń, może by się okazało, że sprawa ta nie jest epizodem w dziejach dewiacji polskiej myśli, ale że odkrywa się w niej jakaś prawda, której do tej pory trudno nam było wysłuchać, trudno nam było ją znieść. I wcale nie znaczy, że jej wysłuchamy i zniesiemy, bo podejrzewam, iż nie da się opowiedzieć do końca. Nawet przybliżenie wymaga spełnienia pewnych warunków. Pierwszy z nich polega na uznaniu oczywistości: wpływu Andrzeja Towiańskiego na losy polskiej literatury i umysły kilkuset ludzi reprezentujących różne narodowości nie sposób zbyć ani lekceważeniem, ani nadmiernym pietyzmem, ani »naukowym badaniem«, które budzi wśród duchów niezdrowy chichot. Ci, którzy go lekceważą — niechęć ulegają jego wpływowi. Stają się urzędnikami Sprawy à rebours. Ci, którzy widzą w Towiańskim wielkiego filozofa — po prostu potrzebują pokłonić się komuś takiemu jak on. Drugi warunek polega na przewycięzeniu złudzenia: powiada się, że Towiański wywierał zgubny wpływ na najwybitniejsze i wybitne umysły epoki [...]. A jeśli działa się inaczej? A jeśli obecność Towiańskiego, jego paradoksalna nauka i siła oddziaływania była przedziwną materializacją pragnień i oczekiwań epoki [...], jeśli stał się ucieleśnieniem ich własnych pragnień?” (s. 73—74).

Przytoczony fragment odsłania metodę badawczą i postawę Rutkowskiego wobec przedmiotu dociekań. Zanim jednak spróbujemy metodę tę opisać w sposób bardziej szczegółowy, konieczne wydaje się streszczenie książki, choćby ze względu na miejsce jej wydania.

Braterstwo albo śmierć składa się z czterech części, każda z nich jest próbą wnikięcia w istotę towianizmu poprzez analizę różnych aspektów myśli i dzia-

¹ J. M. Rymkiewicz, *Juliusz Słowacki pyta o godzinę*. Warszawa 1983. — K. Górski, *Mickiewicz—Towiański*. Warszawa 1986.

łałości mistrza Andrzeja. Przedmiotem interpretacji są tu nie tylko teksty, ale również zdarzenia, epizody z życia towiańczyków, ich gesty i czyny. Rutkowski wydobywa przy tym ich motywacje „głębokie”, stara się docierać do znaczeń ukrytych, często symbolicznych. Działalność sekty Towiańskiego interpretuje bowiem jako nieustający spektakl w „teatrze mowy”. Regułą rządzącym tym spektaklem poświęcona jest pierwsza część książki, zatytułowana *Cierpienia Marii Rutkowskiej, z domu Lemoine. Człowiek nowej epoki*.

Towiański nie był, zdaniem autora, wielkim filozofem. Jego siła oddziaływania na innych brała się nie z atrakcyjności nowych idei: „objawienie” przez niego głoszone nie zawierało w istocie „nic więcej nad to, co Mickiewicz dotychczas napisał” (s. 14). Towiański zaproponował natomiast rozwiązanie dręczącego Mickiewicza i innych dylematu: przemiany słowa w czyn, zasypania przepaści między literacką wizją rzeczywistości a rzeczywistością „namacalną”, tą historyczną i tą szarą, codzienną. Mistrz Andrzej nie mówił więc emigrantom nic nowego, wręcz przeciwnie: stał się ich sobowtorem, zaspokajał ich „głód świętości”, pragnienie religijnej odnowy, przemiany powszechnej i oczyszczającej. Emigranci bowiem „pragnęli przekroczenia siebie jak wampir krwi” (s. 24). Towiański takie właśnie „przekroczenie siebie” proponował; miało ono prowadzić do nowego porządku, porządku „Bogoczołwieczeństwa”. Rutkowski nie poprzestaje jednak na tych konstatacjach, co do których zresztą badacze towianizmu byli zgodni. Interesuje go nie tylko to, co Towiański zrobił, ale również, jak tego dokonał:

„Andrzej Towiański postanowił wychować nowego człowieka, ucząc go nowych praw mówienia. Dzięki temu wprowadził swych uczniów i wyznawców w nową rzeczywistość, w której dotychczasowe troski, nieszczęścia i zgrzyoty nabierały nowego sensu. Aby tego dokonać, należało rozpocząć dzieło od operacji na wypowiedzi, czyli zasadach porozumiewania się między »ja« i »ty«, co prowadziło do zmian w pojmowaniu siebie samych, nastęrczało pytania o sens własnej osoby i jej położenie wobec innych oraz zewnętrznego świata” (s. 25).

Operacja ta polegała, zdaniem Rutkowskiego, na zakłóceniu czy też nawet zburzeniu warunków „normalnego” porozumiewania się, rozmowy. Najważniejszy z nich to prawo rozmówców do zmiany ról mówiącego i słuchającego, czyli do partnerstwa w rozmowie. Proces rozmowy polega na tym, iż każde słuchające „ty” ma prawo odpowiedzieć, czyli zamienić się w mówiące „ja”. Dialog zakłada też posługiwanie się przez jego uczestników wspólnymi gatunkami mowy. Jeżeli warunek ten nie zostanie dotrzymany, to porozumienie staje się niemożliwe: słuchający nie potrafi zrozumieć wypowiedzi mówiącego (bądź też rozumie ją niewłaściwie, niezgodnie z intencją wypowiadającego), rozmowa zostaje przerwana. Takim właśnie nieporozumieniem było wystąpienie Towiańskiego w katedrze Notre Dame 27 września 1841. Mistrz Andrzej oznajmił, iż czas wyzwolenia już nadszedł, koniec cierpień Polski i wygnańców jest bliski. Ci, którzy mu uwierzyli, zaczęli po prostu pakować kufry. I to właśnie było wynikiem posługiwania się przez Towiańskiego i jego słuchaczy odmiennymi gatunkami mowy. „Towiański nie kłamał, ale też nie mówił prawdy. Pozostał poza prawdą i kłamstwem, na innym pięttrze wypowiedzi. Jemu chodziło o coś innego, o inny sens słów, o odmienną rzeczywistość. Wprowadzał braci do ojczyzny, ale nie do ojczyzny po prostu, ale do ojczyzny w ogóle [...]” (s. 32).

Towiański nie został więc rozumiany, bo posłużył się innym gatunkiem mowy: językiem „nowego człowieka” stanowiącym „towianistyczną nowomowę”. Objawienie mistrza Andrzeja można było przyjąć lub odrzucić, ale nie sposób było z nim dyskutować — dyskusja bowiem, jak wszelka rozmowa, zakłada istnienie wspólnej rzeczywistości, na którą godzą się rozmówcy. „Normalna rozmowa”, w której przestrzega się zasad partnerstwa, jest możliwa jedynie przy założeniu, że wszy-

stkim jej uczestnikom rzeczywistość jest dostępna na wiele sposobów, a co za tym idzie — że każdy z rozmawiających może wypowiadać się o niej, jak chce.

Towiański tej wolności wypowiedzania się nie zanegował wprost. Ale ograniczył wolność słowa w Kole poprzez wprowadzenie warunku „pozostawania w tonie” przez mówiącego. Rutkowski sądzi, iż nie oznaczało to nic innego jak wprowadzenie autocenzury i cenzury. Nowym językiem można było posługiwać się w ściśle określony — przez Mistrza oczywiście — sposób: należało używać narzuconych przez Towiańskiego słownictwa, składni, a nawet rytmu zdań. „Bracia mieli więc pełną wolność mówienia, pod warunkiem, że będą mówili to samo i tylko to, czego się od nich wymaga” (s. 34).

Wskazane też były odpowiednie gesty, będące zwykle oznakami egzaltacji, wśród towiańczyków zaś uznawane za potwierdzenie „bycia w tonie”. Towiański starał się bowiem skodyfikować nie tylko język swych wyznawców, ale także wszystkie pozostałe elementy aktu mowy. Nawet wtedy, gdy posługiwał się słowem pisanim: listem, notą, starannie wybierał czas ich odczytania, osobę odczytującą, wreszcie krąg wyznawców, którzy mogli zostać w treść pisma wtajemniczeni. W ten sposób Towiański reżyserował nieustający spektakl w stworzonym przez siebie teatrze mowy. Nieustający, ponieważ w kole obowiązywał zakaz milczenia: kto milczał, mógł coś ukrywać, nie było też wiadomo, czy pozostaje „w tonie”. Żaden z braci nie był zdolny, zdaniem Mistrza, ocenić stanu swego ducha — mogli to uczynić inni bracia, Koło i przede wszystkim sam Mistrz lub jego zastępca. Subiektywnie, we własnej świadomości, brat mógł czuć się bez winy. Ale wtedy powinien liczyć na pomoc innych braci, na kolektywną świadomość Koła, na jego „zbiorową mądrość”. Nikt nie był bez winy — Rutkowski przytacza znamienne wypowiedź Hieronima Jezewskiego: „Jeżeli ci brat wymówi twoje zło, choćby cię nazwał szelmą, trzeba przede wszystkim uwierzyć, że nie powiedziała by tego, gdybym nie był szelmą” (s. 36).

Aby osiągnąć duchową doskonałość, „być w tonie”, konieczne było wyrzeczenie się własnego „ja”. Nie chodziło przy tym o znane mistykom „ogłocenie duszy”, lecz o publiczne „wypróżnienie ducha”. Mistyczne „ogłocenie” odbywa się zazwyczaj w pełnym skupienia milczeniu, natomiast „wypróżnienia” dokonywały się poprzez zrytualizowane formy wypowiedzania, jak choćby publiczną spowiedź w Kole, której cel tak przedstawiał Mickiewicz: „Nie ma nic zakrytego, co by nie było odkryte. Nie ma człowieka, który by z czasem nie został odkryty, aż do dna swojego ducha” (s. 35).

Nikt nie był bez winy również i dlatego, że nie bardzo było wiadomo, co właściwie znaczy „pozostawanie w tonie”. Wiedział to jedynie Mistrz, który jednak nigdy pojęcia „tonu” nie sprecyzował. W towianistycznej nowomowie doszło do absurdałnego rozchwiania znaczeń. Rutkowski pokazuje swoistą dialektykę „nowego języka”, która powodowała nie tylko oderwanie słów od rzeczywistości, ale także rozchwianie znaczeń, ich „ubezsensownianie”. W tekstach towiańczyków rzeczywistość wolność była nazywana niewolą, prawda fałszem (i odwrotnie). Niezwykle płynne były też granice znaczeń, chaos semantyczny prowadził do wieloznaczności. Gdy zaś słowa mają zbyt wiele znaczeń, łatwo językiem manipulować, i to tak, że manipulowani tego nie dostrzegają. Tak skonstruowany (a raczej rozregulowany) język staje się też skutecznym narzędziem władzy.

Operacja na języku, przy której pomocy Towiański usiłował wychować „nowego człowieka”, polegała więc nie tylko na „likwidowaniu partnerów rozmowy, czyli negowaniu prawa mówienia w swoim imieniu; na odrywaniu słów od rzeczy, czyli na odrzucaniu rzeczywistości wypowiedzi”, ale również „na ubezsensownianiu słów, czyli przywłaszczaniu sensu przez jednego człowieka: Mistrza i Pana” (s. 42). To właśnie Mickiewicz był, zdaniem Rutkowskiego, twórcą kultu Towiańskiego, to on pierwszy za-

czął nazywać Towiańskiego Mistrzem i Panem. Rutkowski pokazuje, jak stosowanie tych tytułów prowadziło do dwuznaczności, która utwierdzała władzę Towiańskiego. Przy pomocy opisanych manipulacji utwierdzało się w Kole przekonanie o nieomyślności Mistrza. Umacniało ono jego władzę, ale również dawało towiańczykom poczucie bezpieczeństwa: skoro bowiem Mistrz jest nieomyślny, wystarczy podporządkować się jego rozkazom, aby mieć w owej nieomyślności swój udział. Nieomyślność Towiańskiego miała pochodzić wprost od Boga, kim jednakże był on sam? Mistrzem i Panem. Ale tak przecież zwraca się do Boga — znowu mamy do czynienia z chaosem znaczeń, z językowym zamętem. Rutkowski przytacza znamienity zapis z dziennika Seweryna Goszczyńskiego, powstały w 1860, kiedy to ten jeden z najwierniejszych wyznawców Mistrza zaczął wątpić: „Przyznanie nieomyślności człowiekowi jest jego ubóstwieniem. Bóg tylko jest nieomyślny. [...] Po co mi szukać Boga daleko, kiedy mam pod ręką człowieka tak nieomyślnego jak Bóg — który przeto może mi Boga zastąpić” (s. 44).

Goszczyński, któremu zwątpienie przywróciło zdolność refleksji, zadaje też pytanie: co stanie się, gdy uznany za nieomyślnego człowiek okaże się narzędziem zła. Odpowiedź, której Rutkowski udziela, można uznać za podsumowanie pierwszej części jego książki:

„Co się wtedy stanie? Dzisiaj wiemy dobrze, co się stanie, bo już się stało. Wiemy, do czego prowadzi »człowiekobożeństwo« w różnych swoich wariantach, niekiedy bardzo atrakcyjnych. Mistrz Andrzej Towiański wprowadził w Kole Sprawy Bożej realne »człowiekobożeństwo« i wprowadził swoich uczniów i wyznawców do dziwnej krainy na wschód od Edenu, w której panowały prawa martwego języka. Bo kult nieomyślności Towiańskiego, czyli jego uczestnictwo w Boskiej chwale, mógł powstać i zakorzenić się właśnie dlatego, że towianizm był operacją na języku, eksperymentem przeprowadzonym na tkance mowy, którego skutkiem zakażenie i rak” (s. 44).

Drugą część książki (*Odkrycie brata Seweryna. Śmierci nie ma*) rozpoczyna Rutkowski rozważaniami na temat psychiki emigrantów, jej stanu przed przybyciem Towiańskiego do Paryża. Społeczność emigracyjna wpadła, jego zdaniem, w schizofrenię, czyli rozszczepienie, rozpad, nieciągłość osobowości. Owo rozszczepienie między umysłem człowieka a światem zewnętrznym, między słowem a rzeczą jest, jak stwierdza — za Frommem — Rutkowski, „najbardziej oczywistą cechą życia”. Poczucie dwoistości „jest przecież elementarnym warunkiem myślenia. Schizma, rozszczepienie, odróżnia człowieka żyjącego i świadomego, że żyje, od świata. Czyli umożliwia funkcjonowanie osoby myślącej o tym, co wobec niej zewnętrzne” (s. 75). Stan patologiczny zaczyna się wtedy, gdy rozszczepienie jest tak silne, że uniemożliwia ono funkcjonowanie. Dwoistość, która leży u podstaw działania umysłu, prowadzi do samotności, ta zaś do „podmiotowego wstydu osamotnienia”. Ten „wstyd” może w szczególnych sytuacjach — takich jak emigracja właśnie — przybierać rozmiary lęku i cierpienia, powodować patologiczne widzenie świata i patologiczne zachowania. Pojawia się wtedy silne pragnienie racjonalizacji, która czasem bywa wręcz historyczna i dokonuje się bez względu na jej cenę.

Taka właśnie była sytuacja Mickiewicza i innych emigrantów. Zakładane przez nich stowarzyszenia (Stowarzyszenie Braci Zjednoczonych, Bractwo Służby Narodowej) były właśnie takimi próbami „racjonalizacji”. Zadaniem tych stowarzyszeń miało być doskonalenie duchowe, odnowa moralna. Rutkowski sądzi jednak, że miały one również inny cel, o którym milczano: odnowa musiała zostać poprzedzona „zabiciem starego człowieka”. Ów stary człowiek, którego symbolem był Gustaw z *Dziadów*, pamiętał o chwilach „jedni” między sobą a światem, cierpienie zaś, spowodowane ich rozdwojeniem, było czymś naturalnym dla jego ludzkiej kondycji. Jego symboliczne, literackie samobójstwo dokonało się w *Dziadach*, ale

teraz należało dokonać go w rzeczywistości, bo pustka, lęk, samotność i cierpienie emigrantów to niby te same bolesne doznania, które dręczyły Gustawa, lecz doznania o wiele silniejsze — bo rzeczywiste. „Zabicie starego człowieka”, samobójstwo nie musiały oczywiście być dostowne, chociaż i takie się zdarzały. Można z owego zabijania uczynić mord rytualny, magiczny akt „zabicia sobowtóra”. Takim zbiorowym sobowtorem paryskich emigrantów stał się — była już o tym mowa — Towiański. Rutkowski bardzo mocno podkreśla, że nie chodzi tu o zwykłe samobójstwo, lecz „o zabicie sobowtóra odpowiadające magicznej czynności pogrzebania w sobie starego człowieka, zużytej, niepotrzebnej, bezraźnej osobowości, umarłej w świecie i dla świata. O mord rytualny na każdym z nich, na poszczególnym i na wychodźstwie jako całości po to, by nadać sens życiu i cierpieniu, na nowo zrationalizować cierpienie, obłaskawić sens pokuty” (s. 77).

Towiański jednak przynosił emigrantom lekarstwo na ich cierpienie, nadzieję na stworzenie nowego człowieka, przekroczenie schizofrenicznej rzeczywistości. Był ich sobowtorem, ale nie mogli go zabić. „Kogóż zatem trzeba rytualnie pozbawić życia? Czyżby proroka, który przyjazdu Mistrza najbardziej oczekiwał...?” (s. 77). To pytanie jest bardzo ważne dla dalszych wywodów Rutkowskiego.

Towiański uleczył tych, którzy mu uwierzyli, tak jak uzdrowił obłąkaną Celinę Mickiewiczową. Nawet przeciwnicy Mistrza Andrzeja dostrzegali jego ogromną i tajemniczą siłę oddziaływania na słuchaczy. Rutkowski, podobnie jak wcześniej Rymkiewicz, uważa, iż Towiański nie musiał używać wielu słów dla pozyskania wyznawców. Lekarstwem zaaplikowanym emigrantom była metempsychoza. Wiara w reinkarnację nie była w romantyzmie europejskim niczym nowym. Towiański twierdząc, że „śmierci nie ma”, odwoływał się do jednego z podstawowych mitów ludzkości: znanej niemal we wszystkich religiach wiary w pośmiertne odrodzenie. Ale „siła Towiańskiego polegała właśnie na tym, że mówił niezdarne frazy obciążone dziedzictwem tysiącleci” (s. 80). Mówił je do tych, którzy na nie czekali, i wtedy właśnie, gdy oczekiwanie stawało się niezdolne.

Wiara w reinkarnację uwalniała towiańczyków od samotności, włączała w kosmiczną wspólnotę ducha. Nie byli sami, bo w każdej rzeczy — nawet pozornie martwej — żył i cierpiał duch. I nie było śmierci, umierała tylko zewnętrzna powłoka ducha, jego więzienie. Dlatego i śmierć ojczyzny była tylko pozorna: ona żyła w nich, duchach wybranych. Wyzwolić ją znaczyło doprowadzić do zlania się ziemi z Królestwem Bożym, jedyną prawdziwą ojczyzną ducha. Właśnie ci, którzy posiadli pełną wiedzę o przeznaczeniu ludzkości, wiedzę objawioną Mistrzowi, mogą sprowadzić Królestwo Boże na ziemię. Jedyną drogą do tego celu jest cierpienie, ofiara polegająca na wyrzeczeniu się nie tylko własnego szczęścia, ale i własnego „ja”. Co więcej, dla nich, duchów wybranych i najstarszych, nie ma już innej drogi, gdyż sprzeniewierzenie się sprawie, woli Bożej, której ziemskim wyrazicielem jest Mistrz, powstrzymuje pochód wszystkich duchów, oddala ich wyzwolenie.

Lekarstwo Towiańskiego skutecznie leczyło emigracyjną schizofrenię: wyzwalało jego wyznawców z rozdwojenia, bo istniała tylko jedna rzeczywistość, rzeczywistość ducha; wyprowadzało ich z samotności, bo wszystkie duchy łączyła kosmiczna jedność współodpowiedzialności za zbawienie świata; nadawało im cierpieniu sens absolutny. Ale zarazem podporządkowywało całkowicie wyznawców ich mistrzowi. Każdy, kto wątpił w objawienie dane Towiańskiemu, stawał się wrogiem Sprawy, ich wrogiem. Był narzędziem zła, opóźniał zlanie się ducha z Boską światłością — dlatego dla wroga nie było litości. Rutkowski opowiada historię młodego Francuza Adolphe'a Lèbre'a, który był wielbicielem Mickiewicza. Towiańczycy próbowali wciągnąć go do Sprawy, wykorzystując jego oddanie polskiemu wieszczowi. Lèbre okazał się jednak adeptem odpornym na nowe objawienie, szczególnie nie do przyjęcia okazała się dla niego właśnie metempsychoza.

Rutkowski przytacza fragment jego artykułu o towianizmie, słusznie zauważając, że jest to jedna z najgłębszych XIX-wiecznych analiz tego zjawiska. Bo chociaż Lèbre nie poddał się „wyzywom” Koła, to jednak nie potępił odrzucanej wiary, lecz usiłował ją zrozumieć. Nie mógł uwierzyć, ale chciał dyskutować, bo szanował Mickiewicza, jego cierpienie. Mickiewicz odrzącił go, a w liście informującym Towiańskiego o śmierci młodego Francuza (winą za tę śmierć wielu obarczało właśnie Mickiewicza) pisał ze spokojem, że „ostatni wyzyw musiał strapić go do końca”. Rutkowski, interpretując te zdarzenia, wyjaśnia pośrednio tytuł swej książki:

„Umarł Lèbre, bo nie chciał napić się z czary żywota wiecznego, którą mu podsuwali Mistrz i Adam z pomocą Ferdynanda Gutta. Nie chciał się leczyć, ponieważ nie był chory — ale za to zło go spotkało. Nikt z nas, braci powołanych do pracowania duszą nieśmiertelną, łyż nad trumną Lèbre'a nie uroni. Bo pamiętamy, że nie ma innej drogi niż braterstwo... albo śmierć. Śmierci nie ma dla nas, powiązanych braterskim łańcuchem. Obcy umierają. I nie żał nam ich wcale” (s. 121).

Tak pewnie myśleli towiańczycy. Metempsychoza okazała się lekiem niezwykłym i skutecznym. Dla Mickiewicza stała się także lekiem na umieranie języka poetyckiego, na kryzys romantycznej poezji. Kryzys ten opisuje Rutkowski jako proces oddzielania się mówiącego „ja” od mowy, główną zaś przyczyną tego procesu była — zdaniem autora — komercjalizacja literatury europejskiej, podporządkowanie jej prawom rynku księgarskiego. Polska literatura emigracyjna nie mogła i nie chciała podporządkować się owej literackiej giełdzie. Dla Mickiewicza te nowe warunki funkcjonowania literatury, oddzielenie się „ja” od mowy, oznaczały „bankructwo odpowiedzialności”, uwolnienie literatury od obowiązku kształtowania rzeczywistości. Pozostawanie zaś poza giełdą skazywało na milczenie, a więc na literacką śmierć. (Ten fragment wywodów Rutkowskiego budzi pewne zastrzeżenia, przyjdzie do niego wrócić). Rozwiązanie tych dylematów przyniosła nauka Mistrza: „Lek, trucizna i narkotyk Towiańskiego — metempsychoza — przywróciła poczucie jedności między »ja« i mową. Pozwoliła snuć język jak jedwabnik, mowę nieoddzielną od ciała, zależną od jego samopoczucia, zdrowia, sprawności, przytomności” (s. 124).

Nowa poezja, poezja „towianistyczna” miała posługiwać się słowem-czynem. Jeżeli został spełniony warunek „bycia w tonie”, jeżeli mówiący stał odpowiednio wysoko w hierarchii duchów, był duchem odpowiednio wielkim i „starym”, to słowo wypowiedane w języku nowej poezji miało ogromną moc bezpośredniego oddziaływania, a przez to przewyciężało rozdział między „ja” i mową. Przewyciężało też dystans dzielący autora i czytelnika. Nowa poezja miała więc być „językiem ducha wyrażającego swe dzieje »przez wieki« poprzez ciało [...], miała być zatem m o w a g a d a j ą c y c h c i a ł. Wartość i sens mowy zależał od stopnia metempsychicznego wyszczebłowania. Nowa poezja wykluczała możliwość pokonywania odległości przez pismo” (s. 126).

Rutkowski nie zgadza się z tymi, którzy sądzą, że Towiański zabronił Mickiewiczowi pisać. Jego zdaniem było wręcz przeciwnie: Mistrz Andrzej namawiał autora *Dziadów* do tworzenia. Mickiewicz sam zrezygnował z pisania, bo pisanie jako środek tworzenia już mu nie wystarczało. Tworzył nową poezję słowa-czynu, mowy, której skutki miały być natychmiastowe. Inaczej niż Słowacki, który z posługiwania się pismem nie zrezygnował. Stało się tak, gdyż Słowacki nie zaakceptował towianistycznego „teatru mowy”, udawanych uniesień i napuszonego bezsensu gestów. Tym samym jednak skazywał się na samotność, a więc na brak słuchaczy. Zdaniem Rutkowskiego musiał pisać, bo nie miał do kogo mówić. Pozostał wierny objawieniu i uznał, że objawienie dane jemu pochodzi z tego samego źródła, co objawienie dane Mickiewiczowi i Towiańskiemu. Tylko że tamci dwaj

byli niewrażliwymi przekąźnikami prawd objawionych — musiał więc „przepisać” na nowo *Dziady* i *Pana Tadeusza*.

Słowacki kpił ze stosunków panujących w Kole Bożym, ale utwory Mickiewicza poprawiał z wielką powagą, bez odrobiny ironii. Zapisując objawienie Słowacki zyskiwał ogromne audytorium. Było nim, jak pisze Rutkowski, „wszystko: czas i przestrzeń”. Ale pisząc — zgadzał się też na nieobecność współromówcy, która stawała się „stroną jego własnej nieobecności w piśmie, czarne znaczki na papierze już w trakcie swego powstawania zamieniały go w »nadawcę«, który oddalał się od pierwotnej chęci powiedzenia czegoś. Im bardziej stawał się obecny w piśmie, tym więcej tracił na obecności w mowie [...]” (s. 130). Walka między Mickiewiczem a Słowackim o Sprawę Bożą jest dla Rutkowskiego funkcją różnicy między mową a pismem.

Następne dwie części książki (*Święto Dziadów na cmentarzu Montmartre. Spiśsek Pilchowskiego* oraz *Sen siostry Karoliny. Rozłam*) poświęcone są „zabijaniu Mickiewicza”, oczywiście pojmovanemu symbolicznie, jako mord rytualny. Rutkowski odtwarza sieć intryg prowadzonych w Kole przeciw Mickiewiczowi, mających zmusić go do całkowitej uległości wobec Mistrza. Ponieważ wydarzenia, o których w tej partii książki mowa, są dosyć znane, zajmę się przede wszystkim znaczeniami przypisywanymi im przez Rutkowskiego. Towiański nakłaniał Mickiewicza do tworzenia „nowej poezji”. Aby jednak pisać w nowym języku, należało być w tonie, uzyskać czystość poprzez całkowite „wypróżnienie” ducha. Rutkowski zauważa, że owo wypróżnienie polegało na całkowitej utracie pamięci. Towiański, który — jak twierdził — znał losy dusz swoich wyznawców i ich poprzednie wcielenia, ujawniał je czasem towiańczykom we właściwy swojej metodzie wychowawczej nieprecyzyjny i mętny sposób. Mistrz chciał przez to uzyskać podwójny efekt: odebrać nowemu człowiekowi pamięć i zapanować nad nim całkowicie. Toteż dokonywał nieustannych przesunięć w hierarchii duchów, zmieniał przepowiednie ich wcieleń przyszłych oraz historie przeszłych. Jako jedyny posiadający wiedzę o duchach swoich wyznawców mógł nimi manipulować w niemal nieograniczony sposób. Mickiewicz okazał się jednak duchem wyjątkowo na te manipulacje odpornym.

Rutkowski pokazuje, jak w czasie największego nasilenia podejmowanych przeciw niemu intryg Mickiewicz zachował zdolność do tworzenia realistycznego opisu. Pozostał realistą niejako wbrew sobie, bo bardzo chciał zaufać Mistrzowi i stać się nowym człowiekiem, „człowiekiem bez właściwości”. Realistyczne analizy sytuacji w Kole, których wiele w raportach i donosach chętnie pisanych przez brata Adama dla Mistrza, powstawały poza kontrolą jego świadomości. Mickiewicz bowiem nie wyzbył się pamięci, czyli własnych zdolności pisarskich, twórczej indywidualności. One tylko uległy stłumieniu, z czego zresztą poeta nie zdawał sobie — do czasu — sprawy. Na razie chciał być w Sprawie użyteczny, wypełniał wolę Towiańskiego z ogromnym zaangażowaniem, wprost uprzedzając jego żądania: tłumaczył wąpiącym braciom nadziemski sens wiernopoddańczego adresu do cara, namawiał ich do naśladowania Pilchowskiego i oddawania się Mistrzowi w dobrowolne niewolnictwo. Co więcej, realizował własne pomysły, jak choćby wzbogacając rytuał Koła o sakramenty Nowego Zakonu. To właśnie było dla Towiańskiego niebezpieczne. Mickiewicz był wielkim duchem, „starym Izraelem”, ale wobec Mistrza powinien pozostać kimś niższym. Tymczasem samodzielne inicjatywy brata Adama podawały w wątpliwość wyższość Towiańskiego. Zdawał on sobie sprawę, że kult własnej osoby, a także rozgłos Sprawy, zawdzięcza głównie Mickiewiczowi — więc czyj duch jest wyższy, a czyj niższy?

Brat-wieszcz nie „wypróżnił się” jeszcze, nie stracił do końca pamięci, nie pozbył się „swojego [tj. ziemskiego] człowieka”, siły twórczej, która cechuje wszak duchy wyższe. Dlatego trzeba go było tej wyższości (w języku Towiańskiego: „niż-

szości”) pozbawić, podporządkować ją niższemu (czyli „wyższemu”) duchowi. Usiłował więc Towiański opłatać Mickiewicza siecią intryg, które Rutkowski interpretuje w gombrowiczowskich relacjach „wyższego” i „niższego”.

Mistrz Andrzej posłużył się swoją władzą nad hierarchią duchów: nie negując wprost wyższości brata Adama (a raczej jego ducha), zrównywał z nim duchy niższe, wręcz nędzne, jak choćby Seweryn Pilchowski. Sądził, że niższość sztucznie wywyższona może sprowadzić wyższość do swego poziomu, na właściwe miejsce w szeregu. Ale pomylił się: Mickiewicz potrafił wytłumaczyć owe intrygi działaniem w Kole, podnosząc je niejako na wyższy, ponadosobisty poziom. W ten sposób potwierdzał swoją wyższość. Towiański wpadł w przerażenie i „zabijanie Mickiewicza” przybrało mniej subtelne formy. Mistrz obarczył go winą za powolność zbliżania się realizacji Sprawy, za wszelkie zło w Kole. Jednocześnie zaczął grozić mu degradacją ducha, który grzechy brata-wieszca będzie musiał odputować w jakiejś pośredniejszej „powłoce”. Wreszcie próbowano Mickiewicza straszyc zupełnie „po ziemsku”: żona Towiańskiego powiadomiła grzesznego brata o swoim śnie, który prorokował mu zwykły, fizyczny zgon, jeśli nie nawróci się w ciągu trzech dni.

Mickiewicz przejął się tym, bo do końca wierzył w posłannictwo Mistrza i Sprawę. Oczywiście nie umarł, ale te trzy dni „agonii” pozwoliły mu, zdaniem Rutkowskiego, odrodzić się. „Zmartwychwstanie” Mickiewicza polegało na wyzwoleniu się spod presji stylu narzuconego mu przez Mistrza, na odzyskaniu „ja” pozwalającego mu mówić własnym głosem. Teraz powtarzał słowa Mistrza niezupełnie dokładnie — „prawie powtarzał”, bo poddawał je interpretacji. Tym samym przywracał „normalny” schemat komunikacji językowej. Słowo Mistrza stało się „słowem cudzym”, które można przyjąć albo odrzucić, z którym można dyskutować używając wybranych przez siebie gatunków mowy. Towiański przestał być „tym trzecim” w rozmowie towiańczyków, stał się dla Mickiewicza partnerem dialogu.

Ale Mickiewicz odbudowywał swoją językową podmiotowość już poza Kołem Bożym. Dla tych, którzy nie przyłączyli się do niego i pozostali wierni Mistrzowi, brat Adam przestał być bratem, a więc zgodnie z zasadą „braterstwo albo śmierć” stał się martwy. Rutkowski przytacza fragment z dziennika Goszczyńskiego opisujący reakcję towiańczyków na śmierć Mickiewicza: „poczuto ten wypadek, jak należy. Wszyscy bracia w chrześcijańskim usposobieniu dla jego ducha: boleją, że śmierć znalazła go na drodze niewłaściwej jemu, czują, że ten koniec jest skutkiem zaparcia się przez niego swojej misji [...]” (s. 200). Ich ta śmierć nie zaskoczyła, bo znacznie wcześniej dokonali rytualnego zabójstwa: zabijając w sobie „starego człowieka”, mordowali sobowtóra. Zabijali Mickiewicza niejako w zastępstwie Towiańskiego — była już o tym mowa. Ale zabijali go też dlatego, że był wyższy i ta jego wyższość nie chciała poddać się ich niższości. Zabijali go wreszcie i dlatego, że był sobowtorem tej części nich samych, którą starannie spychali w podświadomość; dokonał tego, czego oni podświadomie pragnęli — wyzwolił się spod władzy Mistrza. Takie odpowiedzi daje Rutkowski na pytanie, którym — parafrazując Norwida — kończy swoją książkę: „Cóżes ty zrobił ludziom, Mickiewicz?”

Streszczenie, którego próbowałem tu dokonać, nie objęło oczywiście wszystkich wątków książki Rutkowskiego. Nie było też w stanie oddać stylu, jakim została ona napisana. Bo *Braterstwo albo śmierć* jest książką niezwykłą: oscyluje ciągle między rygorami naukowego dyskursu a literackim — świetnie napisanym — esejem. Kapitalny pomysł potraktowania działalności Towiańskiego jako „operacji na języku” pozwolił Rutkowskiemu na precyzyjne opisanie środków, przy których pomocy mistrz Andrzej zniewalał swoich wyznawców. Interesujące i odkrywcze jest też ukazanie istotnych przyczyn konfliktu Mickiewicza z Towiańskim, potraktowa-

nie go jako walki o przywrócenie sensu mowie i podmiotowości tym, którzy się nią posługują.

Wnioski i interpretacje Rutkowskiego znajdują swe uzasadnienie we współczesnej refleksji nad językiem. Powołuje się na teorie języka filozofów o odmiennych nastawieniach metodologicznych, wymieniając nazwiska badaczy tak różnych, jak Husserl, Bachtin, Derrida, Foucault, Searle, Ohmann. Jak sądzę, chodzi autorowi książki nie o opowiedzenie się za którąś z koncepcji metodologicznych, ale o jak najpełniejsze odczytanie interpretowanych przez niego tekstów. To właśnie dzięki uważnej lekturze tekstów mógł Rutkowski stwierdzić, że „towianizm jest fenomenem językowym, jest gadaniem, mową-trawą, retoryką zdegradowaną, odłączoną od rzeczy-wistości” (s. 63). Filozofia języka dostarczyła mu zaś narzędzi do opisanego tego, co w tekstach odkrył. Przedmiotem interpretacji są przy tym nie tylko teksty pisane, ale również ich konteksty. Rutkowski rozszerza pojęcie tekstu, podobnie jak ma to miejsce we współczesnej semiotyce i teorii komunikacji; lekturze poddaje także gesty i wydarzenia mające charakter symboliczny lub jako symboliczne dające się odczytać. Cytuje też obszernie interpretowane teksty, w tym także publikowane² dotychczas rzadko lub wcale. Interpretacje docierają do „znaczeń głębokich”, ukrytych. Rutkowski wydobywa znaczenia zawarte w sformułowaniach metaforycznych (szczególnie w zapiskach z dziennika Goszczyńskiego), a także w rozumianych po norwidowsku przemilczeniach (do teorii lektury Norwida odwołuje się on wprost). Zainteresowanie podświadomie skrywanymi znaczeniami nie jest tu przypadkowe, autor bowiem zajmuje się również psychiką bohaterów swojej książki. Stąd nie poprzestaje na analizach językowych, ale odwołuje się także do współczesnej psychiatrii (gdy stan psychiczny emigrantów opisuje jako schizofrenię) czy też antropologii (gdy klucz do sytuacji Mickiewicza w Kole Bożym odnajduje w pracy Olgi Freidenberg i Gombrowiczowskiej koncepcji „urabiania formy” w relacjach „niższego i wyższego”).

Wnikliwe interpretacje Rutkowskiego prowadzą do odkrywczych, czasem zaskakujących wniosków. Nie ze wszystkimi jednak można się zgodzić. Otóż wydaje mi się, że pozostanie Słowackiego „w literaturze”, jego teksty mistyczne — nie są „zastępczą” formą mowy. Autor *Króla-Ducha* pisał nie dlatego, że nie miał do kogo mówić. Pamiętać należy, że w jego systemie mistycznym Duch doskonalił się niszcząc formę. Pisanie „na rozkurz, ku rozsypce” nie było pisaniem „ku mowie”. Nowa literatura miała być dla Słowackiego nie aktem mowy, lecz językiem poetyckim, który maksymalnie wykorzystałby swoje — poetyckie właśnie — możliwości. Za najlepszy środek przekazywania objawienia uznał on przecież poetycką metaforę. Mickiewicz marzył o słowie-gołębiczy, Słowacki o słowie ognistym jak piorun. Utopie te różniły się jednak: Mickiewiczowi chodziło o słowo-czyn, mające natychmiastową, Boską moc stwórczą — było to marzenie Konrada z *Wielkiej Improwizacji*; Słowacki zaś pragnął mówić takie słowa, które mogłyby zawrzeć

² Rutkowski przytacza z rękopisów przechowywanych w Bibliotece Polskiej w Paryżu fragmenty kilkunastu dokumentów dotychczas nie publikowanych bądź też opublikowanych dawno i z reguły trudno dostępnych. Są wśród nich: list E. Rutkowskiego do Towiańskiego z 26 kwietnia 1846 oskarżający Mickiewicza o zaprowadzenie niewolnictwa w Kole; list F. Gutta do Mickiewicza zawierający wskazówki, jak postępować z Lébrem; broszura Towiańskiego zatytułowana *Jak obudzić ruchy ducha*; dwa listy K. Chełchowskiego do Domeyki relacjonujące nieudane próby „nawrócenia” króla Ludwika Filipa i księcia Czartoryskiego; charakterystyka Mickiewicza z okresu działalności w Kole sporządzona przez K. Rettla w jego *Notach o Adamie Mickiewiczu*; pieśń Karoliny Towiańskiej wysławiająca Mistrza.

w swym znaczeniu sens Wszechświata i których znaczenie potwierdzałby Bóg — była to nowa, mistyczna forma zapisanego w *Beniowskim* marzenia, „żeby język giętki powiedział wszystko, co pomyśli głowa”.

Kryzys poezji romantycznej wynikał m.in. właśnie z niemożności urzeczywistnienia tych marzeń, nieskuteczności słowa poetyckiego. Dlatego nauka Towiańskiego stała się dla Mickiewicza lekarstwem — przywracała wiarę w skuteczność słowa, broniła przed „bankructwem odpowiedzialności” i oddzielaniem się „ja” od mowy, poezji od rzeczywistości. Nieuzasadnione więc wydaje mi się przypisywanie Mickiewiczowi świadomości, że ów rozdział między „ja” a mową następował na skutek przemian życia literackiego. Problem giełdy literackiej, „panteizmu druku”, był istotny raczej dla Norwida, do którego zresztą autor recenzowanej książki kilkakrotnie się odwołuje.

Rutkowski wskazuje na jeszcze jedno źródło inspiracji, a mianowicie na twórczość Krasińskiego. Jemu właśnie zawdzięcza ironiczny dystans do przedmiotu badań. Dystans, który jednak często świadomie przekracza. Wiele fragmentów recenzowanej książki cechuje silne zaangażowanie emocjonalne, ujawniane głównie za pomocą zabiegów stylistycznych, nawet poprzez stosowanie mowy pozornie zależnej. Książka ta jest bowiem także pewną wizją towianizmu, a obok wnikliwych analiz znajdują się w niej również spekulacje i domysły. Rutkowskiemu chodziło nie tylko o odtworzenie fragmentu historii kultury polskiej. Intencje jego były, jak można sądzić, w istocie hermeneutyczne: opisując towianizm, próbował on zrozumieć także czasy nam bliższe, a przede wszystkim stalinizm. Historia „zabijania Mickiewicza”, jego zniewolenia i wyzwolenia się, jest dla autora modelowym niejako przykładem zniewolenia intelektualisty, twórcy — przez ideologię i jej język³. Rutkowski wskazuje na to niedwuznacznie za pomocą zabiegów stylistycznych, gdy np. pisze, że Towiański osiągnął „szczyty spirytualizmu dialektycznego” (s. 189); albo gdy parafrazuje słowa *Międzynarodówki*, mówiąc o sekcie Mistrza: „co się stanie, gdy związek ten bratni ogarnie ludzki ród” (s. 214); wreszcie gdy cieszy się, że Towiański „nie mógł wprowadzić [...] instytucji bezpośrednio przyspieszających edukację nowego człowieka, np. instytucji obozu wychowawczo-pracującego (duchem)” (s. 49).

Braterstwo albo śmierć jest więc także książką o sytuacji twórcy w „wieku ideologii”, chociaż przedmiotem badań w niej zawartych są wydarzenia lat czterdziestych ubiegłego stulecia, kiedy to ideologie te dopiero powstawały. Jeżeli moje domysły są słuszne, to jest to książka w pewnym sensie optymistyczna. Pokazuje bowiem na przykładzie Mickiewicza, że wielkiej jednostki nigdy nie można zniewolić do końca, choć czasem za swoją niezależność płaci ona bardzo wysoką cenę.

Rutkowski pisze, że życie poety od spotkania z Towiańskim powtarza jakby losy Gustawa-Konrada z *Dziadów*. Zdaje się jednak nie dostrzegać, że w dramacie tym jest potępione nie marzenie o stwórczej mocy słowa i nieograniczonej, totalitarnej w istocie, władzy nad innymi, lecz bluźnierstwo, którym posłużył się Konrad, by moc tę wyrwać Bogu⁴. Towiański nie powiedział swoim wyznawcom nic nowego — poddali mu się, bo był ich sobowtórem. Urzeczywistnił to, na co

³ Interesujące może być porównanie tego, co Rutkowski pisze o „towianistycznej nowomowie”, z analizami języka stalinizmu przeprowadzonymi przez A. W a t a (*Pisma wybrane*. T. 1: *Świat na haku i pod kluczem*. Eseje. Londyn 1985). Obaj autorzy mówią o zawładnięciu znaczeniami, ich zmienności i płynności powodowanej wymogami sytuacji, odrzuceniu tradycyjnych znaczeń językowych i zastąpieniu ich semantycznym chaosem, oderwaniu słów od rzeczy.

⁴ Zob. W. Weintraub, *Poeta i prorok*. Warszawa 1982, s. 228 n.

czekali i do czego przygotowała ich romantyczna poezja. Ale czy terror, który wprowadził Mistrz w Kole Bożym, wynikał tylko z jego żądzdy władzy? Przecież ani tyrani, ani narzędzia, którymi posługują się — jak chociażby nowomowa, nie biorą się znikąd. W samej naturze języka tkwią skłonności do dewiacji, do zawładnięcia rozmówcą, redukcjonowania dialogu w monolog⁵. Podobnie wielkie marzenie ludzkości o „Bogoczołwieczeństwie” może zdeformować się w ideę „człowiekobożeństwa” i służyć najkrwawszej nawet tyranii. I jeżeli na czas nie rozpoznamy zagrożenia, to łatwo możemy poddać się władzy „fałszywych proroków” i zwyczajnych oszustów.

Niektórym uda się wyzwolić, odzyskać własną podmiotowość, jak udało się Mickiewiczowi za cenę wyobcowania, symbolicznej śmierci, milczenia. Ale czy tylko taką cenę zapłacił Mickiewicz? Jego odrodzenie się polegało na przywróceniu w jego stosunkach z Towiańskim „normalnej” komunikacji językowej, na powrocie do dialogu, odzyskaniu podmiotowości. Czy jednak „trucizna” towianizmu nie pozostawiła śladów w osobowości poety, czy przestała działać po zerwaniu w Towiańskim? Warto, wbrew zdaniu Rutkowskiego, zająć się również życiem i działalnością Mickiewicza po rozłamie w Kole. Chociażby jego pobytem w Rzymie w r. 1848, audiencją u papieża, udziałem w emigracyjnych sejmikach, spowiedzią u Jełowickiego. Warto choćby po to, by odpowiedzieć sobie na pytanie, czy „ton mongolski” dostrzegany u Mickiewicza przez Krasieńskiego i Norwida to tylko przejaw złej woli ludzi Mickiewiczowi niechętnych?

Tomasz Tyczyński

Wojciech Wielopolski, *MŁODA PROZA POLSKA PRZEŁOMU 1956*. Wrocław—Warszawa—Kraków—Gdańsk—Łódź 1987. Zakład Narodowy imienia Ossolińskich — Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk, ss. 180 + errata na luźnej kartce. „Rozprawy Literackie”. [T.] 56. Komitet Redakcyjny: Michał Głowiński (przewodniczący), Marek Gumkowski (sekretarz), Janina Abramowska, Alina Kowalczykowa, Przemysława Matuszewska, Aleksandra Okopień-Sławińska, Edward Pieściowski, Roman Taborski. (Z prac Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu). Polska Akademia Nauk. Komitet Nauk o Literaturze Polskiej.

Wojciech Wielopolski wielokrotnie w swej książce zaznacza, że nie traktuje określeń „pokolenie »Współczesności«” i „pokolenie 56” jako synonimów i że do prozy, o której pisze, lepiej przystaje to drugie. Z kilku względów. Warszawska „Współczesność” nie była jedynym pismem, wokół którego skupili się debiutanci z lat 1955—1958; ważną rolę w zawiązywaniu wspólnoty generacyjnej odegrały w tym czasie również inne ośrodki życia literackiego: krakowski z „Zebrą” czy poznański z „Wybojami”. Pokolenie 56 nie miało charakteru grupy programowej; dążenia młodych tylko częściowo ujawniały się w deklaracjach i polemikach publikowanych na łamach „Współczesności” i „Po prostu”. I wreszcie: czynnikiem, który ustanawiał więź pokoleniową, był w przypadku młodych prozaików nie pozytywny program, lecz sfera wartości kwestionowanych i odrzucanych. Debiutujących około

⁵ Ostrzega przed tym zarówno socjolingwistyka, jak i filozofia lingwistyczna. A. Gawroński (*Dlaczego Platon wykluczył poetów z państwa*, Warszawa 1984, s. 27) pisze: „Słowa mają tym bardziej tyrańską władzę nad myślą, im bardziej wyzwalają się od określonego kontekstu pozajęzykowego. Mogą wtedy nabrać życia autonomicznego i wymknąć się spod kontroli tego, kto nieostrożnie się nimi posługuje”. (Zob. także cały rozdz. *Pochwała filozofii lingwistycznej* tejże książki).